

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy“

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego
T Y G O D N I K

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

LIRYZM I TRAGIZM SEJMUJĄCYCH STRONNICTW WOBEC OSCHŁEJ RZECZYWISTOŚCI

NIEDYSKRECJE:

Rokowania polsko-niemieckie	802
Lugano nie zapowiada się sensacyjnie „	„
Złośliwy los	„
Wiele się robi dla przyjaciół	„
Izolacja Rosji	803
Polityka silnej ręki	„
LIRYZM I TRAGIZM SEJMUJĄCYCH STRONNICTW WOBEC OSCHŁEJ RZECZYWISTOŚCI — <i>W. Stpiczyński</i>	803
POJEDYNEK W LITERATURZE— <i>T. Hiż</i>	805
FELJETON MUZYCZNY— <i>Stanisław Zmi- gryder</i>	807

„GŁOS PRAWDY“ LITERACKI

Malutki opiekun wielkich celów — <i>Juljusz Kaden-Bandrowski</i> 808
Nokturn— <i>Stefan Flukowski</i> 810
Burza nad miastem— <i>Ludwik Fryde</i> „
Na marginesie— <i>jkł.</i> „
Odpowiedź na pytanie— <i>Roman Brandstaetter</i>	811
Varia	813
Kronika literacka	„
Nowości francuskie— <i>J. Czapski</i> 815
Odpowiedzi	816

NIEDYSKRECJE

HERMES, ODPOWIEDNIK MERKUREGO W MITOLOGII GRECKIEJ, to syn Jowisza, zwiastun bogów, bóg handlu i elokwencji, symbol pomysłowości, lotności układności ludzkiej. Cechy te jakoś nie dają się skojarzyć z osobą b. ministra Dr. Hermesa, przewodniczącego delegacji niemieckiej do rokowań handlowych z Polską. P. dr. Hermes wydaje się być antytezą swego mitycznego imiennika. Uosabia on nader niepomyślowy, nielotny, a ciężki i bezwzględny upór żubrów niemieckich. Ostatnie propozycje, jakie nam przywiózł, zupełnie nie nadają się do negocjowania na szerokiej płaszczyźnie traktatu handlowego. Jeżeli istotnie stoi za nimi jednomyślna opinia rządu Rzeszy — a co do tego wolno mieć pewne wątpliwości — to szanse dojścia do porozumienia gospodarczego z Niemcami byłyby przeraźliwie małe. Nasze stanowisko w sprawie traktatu handlowego z Niemcami tyle razy podkreślaliśmy, że nie będziemy nużyć czytelników ciąglem jego powtarzaniem. Pragniemy zawrzeć ten traktat na warunkach możliwych do przyjęcia, a mianowicie na zasadzie równych obustronnych korzyści. Jesteśmy szczęśliwi w tej sytuacji, że możemy czekać, aż w Niemczech zaświta zrozumienie tej prawdy, że wszelkie wysiłki skłonienia nas do dobrowolnego narzucenia na siebie supremacji gospodarczej Niemiec są z góry skazane na niepowodzenie. Jeżeli Niemcy tak wielką troską otaczają rzekomo zagrożony traktatem stan swego rolnictwa, niechaj się nie dziwić, że my w niemniejszym stopniu obawiamy się o dobro naszego młodego i bardziej jeszcze zapóźnionego przemysłu oraz o rozwój naszego eksportu produktów hodowlanych i rolnych. Przy wszystkich brakach stanu beztraktatowego i połowiczności prowizorjów, lepszą są one dla nas od złego i krzywdzącego traktatu. Przypuszczamy jednak, iż czynniki polityczne Rzeszy, dążące do utrwalenia normalnych stosunków z Polską, za rzecznika których uważany jest dr. Stresemann uczynią ze swojej strony wszystko by te ostatnie niefortunne propozycje niemieckie zostały radykalnie zmodyfikowane.

LUGANO NA RAZIE NIE ZAPOWIADA SIĘ SEN-SACYJNIE, przynajmniej o ile to dotyczy przebiegu 53-iej sesji Rady Ligi Narodów. Wycieczki premiera Waldemarsa w dziedzinę przedhistoryczną tak już dokuczyły skazanym na słuchanie jego bakałarskich mów dyplomatów Zachodu, że marzą napewno o tej chwili, kiedy kowieński Demostenes obrazi się na dobre i przerwie potoki swojej elokwencji. Na to jest jeden tylko sposób, o którym mówił w swej replice min. Zaleski. Wobec tego, iż żadne argumenty nie są zdolne przekonać p. Waldemarsa o nonsensowności jego pretensyj i skłonić go do podporządkowania się uchwałom Ligi Narodów, nadszedł moment, kiedy Liga winna przejść od beznajdziejnych rozmów z nim do czynów i zabezpieczyć wykonanie swej zeszlótocznej decyzji. Inaczej bowiem systematyczne pokpiwanie sobie karzełka litewskiego z uchwał Ligi stanie się bardzo gorsząca i szkodliwą dla jej prestige'u farsą. O naradach luganeńskich w sprawie ewakuacji Nadrenji i reparacyj niemieckich nic dotychczas niewiadomo. Krążą o tem najprzeróżniejsze wersje, puszczane głównie przez prasę sowiecką, która obawia się, iż za uzyskane koncesje Niemcy zdradzą swą przyjaźń dla Sowieców, ale są to wszystko produkty bujnej fan-

tazji. Najprawdopodobniej skończy się na jakimś uzgodnieniu poglądów, ewentualnie porozumieniu z Niemcami w sprawie składu komisji rzeczoznawców finansowych, która dopiero ustali dalszy plan działania. W każdym bądź razie żadnych radykalnych rostrzygnięć w stosunku do Niemiec w najbliższym czasie oczekiwać nie należy.

ZŁOSLIWY LOS PŁATA LUDZKOŚCI NAJBARDZIEJ PARADOKSALNE FIGLE, które niekiedy mają wybitnie dydaktyczne znaczenie. Oto w dniu otwarcia obrad 53 sesji rady Ligi w Lugano, oraz konferencji panamerykańskiej w Waszyngtonie wstrząsnęła światem wieść o wybuchu wojny pomiędzy Boliwią a Paragwajem na tle błahego w gruncie rzeczy zatargu o jakąś niewielką pograniczną fortyfikację. Zatarg ten, zdaniem naszym, pokojowi światowemu nie zagraża, ale owa „wojenka” (trudno nazwać prawdziwą wojną, walkę państw posiadających zaledwie kilkotypięczne armje stałe), stanowi idealne pole doświadczalne dla teoretyzujących pacyfistów. Zarówno Boliwia, jak Paragwaj są członkami Ligi Narodów, zatem, biorąc teoretycznie, sprawa ich zatargu winna być załatwiona polubownie w Genewie (lub in partibus infidelium w Lugano). Tymczasem Rada Ligi poczęła sobie z „wojenką nieco bezradnie. Odegrały tu podobno dużą rolę obawy o znaną drażliwość Amerykanów (obecnie także południowych), którzy uważają wszelką interwencję pochodzącą z Europy za pogwałcenie coraz bardziej kanonizowanej za oceanem doktryny Monroego. Zatem, gdy wieść o „wojence” doszła w ubiegły wtorek do Lugano, żaden z członków Rady Ligi nie skorzystał z wynikającego z paktu Ligi prawa (a nawet obowiązku) żądania interwencji. Dopiero z inicjatywy ministra Zaleskiego, Briand, jako przewodniczący Rady wystosował depezę do zwaśnionych, w niezbyt energicznych słowach wzywającą do zaniechania rozlewu krwi. Tyle Europa. Z drugiej strony obradująca w Waszyngtonie konferencja panamerykańska, mająca duże aspiracje do roli „amerykańskiej Ligi Narodów, o wiele energiczniej bierze się do rzeczy, i naszym zdaniem, będzie miała w południowej Ameryce o wiele większy prestige. Konferencji waszyngtońskiej przewodniczy prez. Coolidge, a bierze w niej udział słynny twórca „paktu swego imienia” — Kellogg. Autorytet obydwu jest b. silnie zaangażowany w pokojowej likwidacji zatargu o granicę paragwajsko - boliwijską. Byłoby bowiem wieczystą kompromitacją aby w momencie obrabiania paktu Kelloga na warsztacie ratyfikacyjnym senatu waszyngtońskiego, pakt ów okazał się bezsilnym wobec tak niepoważnego zatargu. Tymczasem „surmy zbrojne” grają w obydwu państewkach, młodzież z zapalem zaciąga się na ochotnika pod egzotyczne sztandary swych republik, Rada Ligi wysyła depeze, a konferencja panamerykańska snuje wspaniałe projekty na temat „braterstwa ludów Nowego Świata”.

„WIELE SIĘ ROBI DLA PRZYJACIOŁ”. Tak brzmi odwieczne prawo zwyczajowe, o wiele mocniejsze od wszelkich praw pisanych i skodyfikowanych. Takie też stanowisko zajął zapewne sąd berliński uchylając sekwestr na dzieła sztuki „nacionalizowane” u prawych właścicieli przez rząd sowiecki, a wystawione na licytację w sali Lepkego w Berlinie. Tyle o stronie prawnej tego jedynego w swoim rodzaju wyroku. Strona polityczna ma podłoże o wiele pikantniejsze. Przewód sądowy zbiegł się chronologicznie ze wznowieniem rokowań handlowych sowiecko - niemieckich, na

których wyniku ścieśnionemu z braku rynków zbytu przemysłowi niemieckiemu wielce zależało. Proces berliński był dla Sowietów sprawą „pryncypialną”, precedensem dla innych wyroków sądów europejskich w podobnych wypadkach. Atoli ta „przyjacielska usługa” w postaci wyroku, uchylającego sekwestr, nie wywołała pożądanej rekompensaty ze strony Sowietów i rokowania handlowe z Moskwą uległy mówiąc dyplomatycznie... dłuższej przerwie.

* * *

IZOLACJA ROSJI na terenie międzynarodowym budzi poważny niepokój u kierowników sowieckiej nawy państwowej. Na sesji WCIK'u — sui generis parlamentu związkowego Unji Sowieckiej — zastępca komisarza spraw zagranicznych Litwinow wylewał gorzkie żale z powodu „wzrostu niebezpieczeństwa wojennego”. Jeśli jeszcze w roku ubiegłym bolszewicy oskarżali o „tajne knowania antysowieckie” przedewszystkiem Anglję, to obecnie Litwinow kieruje ostrze swych wywodów krasomówczych przeciwko... Francji i „militaryzmowi francuskiemu”. Nawiązując do zdementowanych już pogłosek o „tajemniczej misji generała Le Ronda”, Litwinow widzi w nowym zbliżeniu Anglii z Francją, w poprawie stosunków między byłymi aliantami a Rzeszą Niemiecką, w angielsko - japońskim porozumieniu, — zacieśnienie „pierścienia burżuazyjnego” wokół Rosji Sowieckiej. Nawet Niemcy stanowiące, zdaniem komisarza spraw zagranicznych „jedyny świetlany wyjątek”, biorą udział via Lugano w akcji, skierowanej przeciw Sowietom. Ulubionym zwyczajem sowieckiej dyplomacji, usiłującej wykorzystać wzajemne animozje państw burżuazyjnych, Litwinow składa w swej mowie Stanom Zjednoczonym ofertę nawiązania stosunków. „Rosji Sowieckiej” — powiada on —

„nie zależy na formalnem uznaniu, gdyby jednak wznowione były normalne stosunki, handel obu naszych krajów potroiłby się”. Tak kusi kapitalistyczną Amerykę komunistyczną Rosjal... Jest jednak rzeczą wielce wątpliwą, czy Amerykanie skorzystają z propozycji Litwinowa.

* * *

POLITYKA SILNEJ RĘKI, zainaugurowana w Jugosławii przez rząd ks. Koroszeza, znalazła swój wyraz w mianowaniu pułkownika Maksymowicza wojewodą zagrzebskim. Nominacja ta, mająca na celu ukrócenie chorwackich dążeń separatystycznych, spotkała się z energicznym sprzeciwem przywódców chorwackich Maczka i Pribiczewicza, którzy uroczyście stwierdzili, że nie dopuszczą nowego wojewody do współpracy z sejmikiem krajowym. W odpowiedzi na to rząd białogrodzki przygotowuje ustawę o stanie wyjątkowym, o zawieszeniu szeregu wolności obywatelskich, wstępując tem samem na drogę bezwzględnej zwalczania chorwackiej opozycji. Ks. Koroszec posługuje się w obecnej chwili przykładem Paszicza, który jednak umiał przejść od represyj do porozumienia i zwalniając latem 1925 roku autonomistów z więzienia, zaproponował im jednocześnie objęcie tek ministerjalnych w swoim gabinecie. Czy jednak represje obecnego szefa rządu jugosłowiańskiego spotkają się z aprobatą społeczeństwa serbskiego lub słoweńskiego? Sądząc ze sprzeciwu jednej z partij, tworzących koalicję rządową, — demokratów grupy Dawidowicza, przypuszczać należy, iż nie wszystkie partje rządowe poprą Koroszeza w polityce „silnej ręki”. Wyloniła się na tem tle różnica zdań, która doprowadzić może do poważnego konfliktu w łonie gabinetu, a nawet, kto wie, czy nie do przesilenia rządowego.

LIRYZM I TRAGIZM SEJMUJĄCYCH STRONNICTW WOBEC OSCHŁEJ RZECZYWISTOŚCI

Z rozważań nad igraniem z ogniem hamletyzującego sejmu.

Byłoby oczywiście nadzwyczajnie pożytecznie, gdyby zjawiska i działania polityczne były w Polsce oceniane, badane i przedsiębrane realnie, t. j. ze zrozumieniem rzeczywistych warunków w jakich powstają i celów, do jakich zmierzają, oraz z uwzględnieniem ciągłości i konsekwencji całych kompleksów faktów, logicznie z siebie wynikających i konstrukcyjnie związanych w jedną całość. Zwłaszcza, należałoby stanowczo domagać się takiego rzeczowego stosunku do polityki, od ludzi, uprawiających ją fachowo, a więc od parlamentarzystów i kierowników stronnictw politycznych, chociażby z tego prostego względu, że polityka jest niczem innym, jak umiejętnością realizowania planów najzupełniej realnych i że wszelka górnolotna metafizyka niczego w tej dziedzinie nie dokona. Oczywiście, jeśli chodzi o plan, musi on mieć w założeniu za cel dobro publiczne: organicznej części czy całości społeczeństwa lub państwa. Logiczne działanie dla realizacji takiego planu może pretendować do miana działania politycznego, w odróżnieniu od wszelkich błazeństw, mających na celu zwrócenie na siebie uwagi lub zabie-

gającej o własne korzyści prywaty, co w okresie sejmowładztwa zostało u nas gwałtownie podciągnięte pod pojęcie polityki.

Nie był wyrazem działania politycznego gabinet prawicowo-piastowy Witosy w r. 1923. Kraj wymagał załagodzenia ran po zaledwie ukończonej wojnie i naprawy finansów narodowych. Tymczasem marka polska, której kurs zaraz po objęciu władzy przez rząd Witosy, w dniu 31 maja wynosił 52,750 za dolara, 31-go sierpnia spadł już do 249.000 za dolara, 30-go września do 470.000, 1 listopada do 1.600.000 i 1 grudnia do 3.500.000. Szalony wzrost cen, olbrzymi wzrost bezrobocia — oto dalsze dobrodziejstwa tego rządu, wzmocnianego — w miarę wzmaganą się katastrofalnych skutków jego działalności — przez takie filary, jak Dmowski i Korfanty, bez najmniejszego skutku i pożytku dla kraju. Jeśli się do tego doda, że ten gabinet stał się grobem wielkości Witosy, że za przyjemność fatalnego w skutkach rządzenia zapłacił on doraźnie utratą stanu posiadania w Sejmie, spowodowaną odejściem od „Piasta” grupy 14 posłów z Dąbskim na

czele, trudno takie mądrości nazywać polityką. To prywatna oszalała i robiła idjotyzy. Niestety, kosztem Polki i całego społeczeństwa.

Wypływa z tego przykładu wniosek, że działalność polityczna, z chwilą, gdy przez zarozumiałość i pychę i żądzę korzyści jednostek, stronnictw, czy nawet całych instytucyj, jak chociażby parlament, zostaje poderwana z twardego gruntu rzeczywistości w obłoki prywaty, im więcej osiąga sukcesów w tej krzywej lotu poprzez przestworza, tem szybciej zbliża jej bohaterów do klęski. Nie tylko bowiem Witos rozbił się o skały swojej nieugiętej pychy. Los jego podzieliła N. Demokracja, bał cały Sejm, który tyle zagarnął dla siebie władzy, że wreszcie runął pod jej ciężarem.

Szanowni obywatele! — granica między zwycięstwem a szaleństwem w polityce jest niezmiernie subtelna i trudna do zauważenia. Zwyciężyć i nie oszaleć, to sztuka, której poza Piłsudskim nikt dotychczas, z pośród tych, co zwyciężali, dokazać nie zdołał. W Polsce nawet ci, co stają się cudzych zwycięstw wybrańcami — szaleją często. Miody praojców uderzają do głów prawników, — co przed dwoma wiekami wypił szlachcic, dziś zamracza umysł chłopca. Po tylu próbach i doświadczeniach, po 150 latach świstu obcego knuta na plecach polskich, dzisiejsi statyści sejmowi nie mogą otrzeźwieć.

Ostatecznie 2 i pół lat minęło od chwili, gdy z bark tonącego pod ciężarem nadmiaru władzy i nieprawości, — w morzu powszechnej odrazy i nienawiści — Sejmu, Marszałek zdjął wielką część odpowiedzialności za Polskę, osłonił go swoim autorytetem przed zagładą, której domagało się społeczeństwo i dał mu możliwość podjęcia pracy nad powrotem do zdrowego, normalnego życia w racjonalnych warunkach. Cokolwiek ma tu kto do powiedzenia w tej sprawie z pośród możliwych sejmowiczów, rzeczywistość ma takie a nie inne oblicze. Przewrót majowy obalił nieprawości Sejmu, lecz uratował parlamentaryzm, — mówiąc ściślej, uratował parlamentaryzmowi możliwość istnienia. Lecz sama możliwość to wszystko, jeśli ktoś z niej rozumnie korzysta i nie, jeśli ją marnotrawi.

Byłoby grzechem przeciw naszemu sumieniu i obywatelowi, gdybyśmy nie stwierdzili wyraźnie, my, którzy do parlamentaryzmu wielką przywiązujemy wagę, że i Sejm poprzedni i obecny możliwość tę marnotrawią, drepcząc na miejscu w błotku małych ambicij i małych interesików stronnictw i ludzi. Jeśli zdradzają one jakąś chęć ruchu, to w kierunku powrotnym do stanu rzeczy z przed przewrotu, zapominając, że na tej drodze stoi barykada, wystawiona w maju 1926 r. i dotychczas nie rozebrana. Ona stoi i póki my, cośmy ją stawiali, żyjemy, będziemy jej bronić.

Sejm tragizuje lub liryzuje naprzemian, w zależności od humoru i temperamentu. Sejmujące stronnictwa albo się skarżą płacząco na niewdzięczność rządu, albo w tragicznej pozie pomstują na jego względem siebie tyranję. I te pozy, te miny, to aktorstwo zastępują wszelką jego działalność. Albowiem sejmujące stronnictwa żyją ciągle złudną nadzieją, że przecież prędzej czy później nastąpi „likwidacja obecnego systemu” na rzecz dawnego sejmowładztwa i że zatem wystarczy, w miarę sił i możliwości zohydzać rządy pomajowe i najsilniejszą ich indywidualność — Piłsudskiego, by przyspieszać ową wymarzoną „likwidację”.

Nie pragną oni zdać sobie sprawy z tego faktu, że w ten sposób działają przeciwko parlamentaryzmowi, jako formie ustrojowej, albowiem sejmy w okresie pomajowym, a więc od chwili, gdy instytucja ta ściągnęła na siebie powszechną niechęć i nienawiść, nie uczyniły — poza zalegalizowaniem dokonanego przewrotu — niczego, co miało by wzbudzić w społeczeństwie na nowo przeświadczenie o pożytku ich istnienia dla interesów narodu i państwa. Nie może być bowiem zaliczane do kategorii czynów pożytecznych fałszowanie rzeczywistości przez lewą i prawą opozycję i to zarówno względem rządu, jeśli chodzi o rzeczywiste nastroje społeczeństwa i wobec społeczeństwa, jeśli chodzi o działalność rządu. Parlament, który jest fałszywym pośrednikiem między władzą wykonawczą w państwie i obywatelem — traci samą podstawę swej egzystencji, której racja przesuwa się wówczas wyłącznie w dziedzinę ochoty i przyjemności sztabów sejmujących stronnictw utrzymywania się na scenie politycznej. Nie trzeba tłumaczyć, że obywatel niema w tem żadnego interesu i że w miarę uświadamiania sobie przezeń takiego właśnie źródła działalności parlamentarzystów, poczyną on tracić wszelką wiarę w skuteczność istnienia parlamentarnego ustroju.

To właśnie nastawienie na trwanie a nie na działanie i budowanie sobie w świadomości społeczeństwa podstaw samoistnej egzystencji zdaje Sejm na łaskę i niełaskę władzy wykonawczej. I istotnie, trudno na świecie o przykład parlamentu, któryby w tym stopniu, co nasz żył nadzieją na łaskawe względy ministrów i rządu, i sam oddał się całkowicie pod opiekę tych względów. Ba, prowadzi on nawet djabło dziecinnie chytrą grę adorowania ministrów od których spodziewa się większej dla siebie łaskawości, przeciwko mniej łaskawym. Głosy rozpacz, wydzierające się — z powodu takiego stanu rzeczy — z ust niektórych jego twórców parlamentarzystów, są już szczytem pretensjonalnego komizmu, który rozśmiesza do łez dzieci w cyrku, lecz nie robi żadnego wrażenia na dorosłych.

Sejm poprzedni, po maju i obecny mają przed sobą jedno wielkie zadanie — korzystać z czasu w którym, choć nie formalnie lecz w rzeczywistości i historycznie, losy Ojczyzny związane są ściśle z pracą i osobą Piłsudskiego, korzystać nie dla czego innego jak stworzenia zdrowych zasad ustroju parlamentarnego i to zarówno w zakresie prawa konstytucyjnego jak „zwyczajów i obyczajów” parlamentarnej pracy. Waga jaką — jak się zdaje — przywiązują sejmujące stronnictwa do dawania lub odmawiania swojej sankcji dla jakiegoś funduszu dyspozycyjnego ministra, o którym to funduszu notorycznie wiadomo, że wydatkowany być musi, — waga takich wspaniałych czynów istnieje tylko w ich wyobraźni. Oczywiście, nie jest bez wielkiego znaczenia inicjatywa premiera Bartla dojścia do normalnych stosunków konstytucyjnych w zakresie budżetu, lecz wypada zauważyć, iż w niczem nie zmienia to faktu, że te „normalne” t. j. zdrowe stosunki nie istnieją w samej konstytucji i że sejm, który nie dąży, by je stworzyć, przeciwdziała inicjatywie premiera.

Zagadnienie po dziś dzień stoi tak: czy sejm stworzy trwałe podwaliny pod zachowanie ustroju parlamentarnego, lub też przyczyni się do jego upadku?

Rzuca się jaskrawo w oczy ten fakt, że „zwyczaje i obyczaje” sejmu obecnego wykazują niezmiernie jego przywiązanie do tradycij przedmajowych. Nawet auto-

rytet marszałka Daszyńskiego, przeciwstawiającego się często kontynuowaniu tych tradycji, z trudem wywalcza sobie jaki taki i przeważnie chwilowy posłuch wśród posłów. Tu zatem, w tej dziedzinie, uzdrowienia jeszcze nie widać.

Jakżeż wygląda ono w zakresie prawnych podwalin parlamentarizmu? Wprawdzie wkrótce po przewrocie dokonane zostały niejaki zmiany w złej, marcowej konstytucji, z których najważniejszą i istotnie wielkiego znaczenia jest nadanie Prezydentowi Rzeczypospolitej prawa rozwiązywania izb parlamentarnych. Atoli nie trzeba zapominać, że zmiany te dokonane zostały z inicjatywy i pod presją rządu i jakkolwiek są one krokiem naprzód na drodze ku zdrowym formom parlamentarizmu — na korzyść sejmu zapisane być nie mogą.

Sejm obecny stanął wobec zadania gruntowej naprawy konstytucji. I rzeczywiście — stanął i stoi w miejscu, bynajmniej do niej nie podchodząc. Natomiast prasa sejmujących stronnictw ma żale do rządu, że nie występuje w tej sprawie z żadną inicjatywą, względnie oskarża o milczenie Blok Bezpartyjny. Jeśli chodzi o rząd, należy zauważyć, że zadanie naprawy konstytucji należy do sejmu, nie do rządu i że przez dokonanie jej ma usprawiedliwić rację swojej egzystencji właśnie sejm. Z B. B. zaś sytuacja jest w najwyższym stopniu paradoksalna! Z jednej strony, opozycja, zwłaszcza lewicowa, oskarża B. B. o tendencje antyparlamentarne, o dążenie do zniszczenia sejmu i parlamentarizmu. Z drugiej zaś pomstuje, że nie występuje on z inicjatywą co do zmiany konstytucji. Jedno drugie wyklucza. Albo się komuś zarzuca, że chce obalić sejm, albo, że zbyt wolno pracuje nad jego ratunkiem. Zdawać się zaś na łaskę tego, który mnie ponoć chce zamordować — to całkiem oryginalna metoda postępowania. Tak czy inaczej, sejmujące stronnictwa są temi, które mają interes i obowiązek przystąpić do pracy nad uzdrowieniem parlamentarizmu w prawie konstytucyjnym i wypowiedzieć się wobec społeczeństwa, jak zamierzają to uczynić.

A tymczasem z tej strony, poza liryzowaniem i dramatyzowaniem, poza aktorstwem — niepodobna doczekać się jakiegoś czynu. Nie trzeba się zatem dziwić, iż tu i owdzie zaczynają się podnosić głosy nadziei, iż głupota sejmu doprowadzi wreszcie do okrojowania nowej konstytucji i upadku, przynajmniej tego sejmu. Zależy to bowiem całkowicie od sejmujących stronnictw i one dzierżą w rękach losy parlamentu. A jest istotnie dość podstaw do snucia nadziei, iż ręce te są dostatecznie nieodpowiedzialne, by doprowadzić do katastrofy.

„Być albo nie być” — ten hamletowski dylemat spaceruje sobie po kuluarach sejmowych i klubach poselskich, mile witany przez zamięłowanych w jego dramatycznej chwiejności leaderów sejmowego bezładu rzeczy i zagadnień. Sejm dotychczas nie rozwiązał tego dylematu na rzecz pierwszej jego części, — słowa „być” nie wypowiedział w czynach, nadających mu siłę rzeczywistości.

I jeśli będzie hamletyzować nadal, marząc o powrocie do stosunków przedmajowych, katastrofa stanie się nieuniknioną. Albowiem powrotu do tych stosunków być nie może. Zamyka go rewolucja, która — drodzy

panowie — miała naprawę miejsce, o czym dobrze jest pamiętać. A próżni natura tego świata nie znosi.

W. Stpicyński.

SPROSTOWANIE

W art. red. W. Stpicyńskiego p. t. „Walka nadmiernych ambicji miernych charakterów z władczą indywidualnością” (tyg. Gł. Pr. Nr. 275 z dnia 8/XII.28) wkraśli się następujące pomyłki drukarskie: Odośne ustępy powinny brzmieć: 1) Owa nieszczęsna praworządność była i jest zawsze nadużywana dla obrony najbardziej przyziemnych, egoistycznych interesów *stron* — we wszelkich walkach politycznych i społecznych — *przegranym*... 2) O cóż tu wreszcie chodzi? O Polskę czy o *strach*, że noszony przez Piłsudskiego kaftan formuły prawnej stanie się później zbyt obszerny dla miernot, które drżą z pożądania, by się weń ubrać.

POJEDYNEK W LITERATURZE

Dużo, bardzo dużo pisze się w ostatnich czasach w prasie polskiej o zagadnieniu satysfakcji honorowej. Czy należy ją dawać z bronią w rękę i upominać się o swój honor w tenże sposób; jakie da się znaleźć wyjście bezkrwawe z drażliwych sytuacji, w które samo życie wtrąca nas nieraz?

Te pytania zaprzatają dziś głowę wielu publicystom, działaczom, „reformatorom” i „myślicielom”.

Jakże na to patrzyli ci, którzy niejednokrotnie, a nawet przeważnie, wyprzedzali swoje społeczeństwa myślą, sprawiając, iż to, co w ich pomysłach wydawało się nieraz dziwactwem, w życiu mas stawało się później prawem powszechnem. Innymi słowy — jak na sprawę zbrojnego spotkania zapatrują się pisarze i poeci?

Muszę się zastrzec z góry: nie piszę rozprawy, tylko bezpretensjonalny feljeton. Nie poruszę więc tu tez zasadniczych, jakie wysuwał taki Suderman w „Honorze”, ani nie będę używał miejsca doktrynerskim rozmyślaniom autorów opowiadań „z tezą”. Zresztą najczęściej tam, gdzie pojedynek, jako sytuacja, jest wywyższony aż do rangi tytułowej (choćby „Pojedynek” Kuprina), romansopisarz nie wprowadza do swojej książki nic pod tym względem świeżego.

Chodzi mi raczej o pobieżne bodaj zobrazowanie pojedynków w literaturze, jako tematów bądź epizodycznych, bądź rozstrzygających całą bajkę danego utworu.

Zaczynamy więc, *comme de raison*, od Hamleta. Jest to pojedynek z typu fatalistycznych. Nie rozstrzyga w nim umiejętność szermierki, tylko przedewszystkiem, wybór mieczów. Moment ten potrzebny jest Szekspirowi do wypuklenia postaci tytułowej, ale przez epizod ten ani Laertes, ani królewicz duński nie stają się nam bliżsi. Inaczej mówiąc — pojedynek w Hamlecie nie uczy nas niczego. Staje się on jednak początkiem szeregu pojedynków, jakie się od-

bywają później na scenach dramatycznych całego świata. U nas odbił się on echem w Mazepie. Słowacki rozkochany w rycerskości Zbigniewa czyni zeń ofiarę, niezbędną dla pogłębienia tragizmu: pojedynek wojewodzica z paziem królewskim jest też punktem kulminacyjnym tragedji.

Na scenie go nie widzimy. Słowacki miał na to zawiele smaku. Słyszymy tylko strzały. To przecież wystarcza.

Współcześnie niemal z powstaniem Mazepy (mówię nie o bruljonie warszawskim z Elektoralne, tylko o ostatecznym opracowaniu) inny poeta, innej narodowości napisał w innym języku swoje arcydzieło, w którym występuje t. zw. sytuacja bez wyjścia. To pojedynek Oniegina z Leńskim. Publiczność nasza zna przeważnie tę scenę z Opery Czajkowskiego. A przecież jest to jedna z kapitalnych kart poematu puszkinowskiego (Istnieje wzorowy przekład polski Belmonta, nad którym się unosił Spasowicz. Szkoda tylko, mojem zdaniem, że tłumacz używa w nim strofy oryginału, język polski bowiem posiada zbyt mało wyrazów jednosylabowych, by obsłużyć wymagane przez rozmiar poematu wszystkie męskie rymy. Odpowiedniejszą zdaje mi się, byłaby tu wypróbowana, posłuszna polska oktawa na wzór byronowskiego Don Juana).

Nie przeczuwał zapewne Puszkina, pisząc o pojedynku Oniegina z Leńskim, że sam w kilka lat później padnie na placu z ręki Dantesa.

Współczesny mu poeta, rodak Puszkina, również padł od kuli pojedynkowej, w parę lat potem, napisawszy romans o Pieczorinie, gdzie, jakby w przeczuciu własnego losu, fatalizm sytuacji znajduje swoje rozwiązanie „na placu”.

Guy de Maupassant w świetnej swojej psychologicznej noweli przedstawia nam „Tchórza” (Le Poltron), który, będąc wciągnięty zupełnie przypadkowo w sprawę honorową, w noc bezsenną, poprzedzającą pojedynek, ze zdenerwowania, strzela sobie w łeb. Wolał pewność od dalszej naprężonej sytuacji.

Był czas, kiedy w polskiej beletrystyce pojedynek był niemal konieczną ozdobą romansu albo dramatu. Trzeba przyznać, że kobiece powieści grzeszą pod tym względem nierównie mniej od rozmaitych utworów Gawalewiczów, Bałuckich, Krechowickich, Jeske - Choińskich, Kosiakiewiczów... Nawet dwaj nie bylejący pisarze nowocześni wprowadzają pojedynki do swoich wielkich romansów. Tylko że wówczas, kiedy pisarze minorum gentium uciekają się często do pojedynku, jako do malus deus ex machina, który sprząta im bohatera niepotrzebnego w chwili, kiedy nie wiedzą, co z nim zrobić — ani w „Rodzinie Połanieckich” ani w „Lalce” nie mamy pojedynku, któryby się odbił w sposób zasadniczy na losie głównych figur powieściowych. Zarówno Sienkiewiczowi, jak Prusowi chodziło tu jedynie o podmalowanie tła obyczajowego.

Znamiennem jest, że pisarze polscy, z natury dalecy od wszelkiej doktryny, nie wypowiadają się ani „za” ani przeciw pojedynkom. Jako artyści, biorą sytuację życiową, najbardziej w danym środowisku prawdopodobną. Widać, że pochwalają odwagę oso-

bistą, niemniej przeto samo stanięcie na placu z pistoletem w ręce nie przeistacza w oczach czytelnika danej figury (nieraz mocno zakazanej, jak Maszko z Połanieckich, albo baron z Lalki) w postać sympatyczną i znać, że nie leży to w żadnym stopniu w intencji autorów.

Zaczęliśmy od Hamleta, zstąpiliśmy z hymnu do prostej powieści. Odbędziemy teraz na chwilę wędrówkę odwrotną. Mamy więc cudowny, jedyny w swoim rodzaju, obraz Sądu Bożego. To „spotkanie” Zbyszka z Rotgierem i giermka z giermkim, na krótkie topory na udeptanej ziemi. Mamy niezrównany w swojej plastyce pojedynek Wołodyjowskiego z Bohunem i Wołodyjowskiego z Kmicicem. Widać że pisał to batalista, notabene pierwszej klasy. Takich przecież scen pojedynkowej walki (choćby konne spotkanie Kmicica z Bogusławem) mamy w Trylogji bez liku. Ale mamy u Sienkiewicza coś osobliwszego. I to właśnie pod względem obyczajowym. Oto w mało znanej powieści „Na polu chwały” ksiądz - opiekun sam zażrzewa niejako do walki w noc przedpojedynkową głównego bohatera Jacka Taczewskiego. A było to przecie już grubo po epoce Sądów Bożych i sam Kościół pojedynków oddawna nie popierał. A wiadomo, że w polityce kościelnej pod tym względem nie było żartów. Aut, aut: w jednej epoce Sąd Boży, w następnej: ekskomunika. Tertium non datur.

Ale cóż było począć, skoro ten ksiądz był również szlachcicem, z dziada pradziada, a konwikty jezuickie nie zdołały w nim wytrzebić fantazji i temperamentu. Trudno, — taka była epoka.

Szczyt epickiego spokoju znajdujemy w scenie pojedynku na pistolety Bogusławskiego z dwudziestoma kilkoma oficerami obcej armji. Historyczny ten pojedynek spisuje Sienkiewicz w ostatniej, niedokończonej swojej powieści „Legjony”.

Wstępujemy do jeszcze wyższego hymnu: na cześć heroizmu o tak wysokim napięciu, na jakie zdobywa się bardzo rzadko twórczość poetycka geniuszów.

Tu już, jak mówi poeta Zdzisław Kleszczyński w wierszu poświęconym Słowackiemu: Tu się rozmawia z Bogiem.

Chcę tu jednak mówić nie o Słowackim.

Oto siedzi w celi klasztoru Bazylijskiego więzień-filareta. „Ty walczysz na rozumu — ja walczę na serca”.

Kogóż on tak wyzywa? To tylko polsko-litewski szlachcic mógł napisać coś podobnego. I niech sobie mówią, co chcą, o przymieszce krwi semickiej w Mickiewicz! Może z tej przymieszki powstał Wallenrod, może z niej się zrodził okrzyk z tychże Dziadów: z Bogiem, czy mimo Boga, zemsta na wroga — ale w chwili, kiedy powstawała Improwizacja, Mickiewicz cały był aryjczykiem z krwi i kości. Przedewszystkiem zaś z ducha.

Głosił później, w okresie mesjanizmu, że przyjdą czasy, kiedy odwaga wojenna odejdzie na plan dalszy, ale jeszcze później widzimy go, tego Twórcę Książ Pielgrzymstwa w obozie pod Bugros, na koniu, przy karabeli, w rogatywce i czamarze. Mówią, że

nastawienie religijne Mickiewicza miało coś ze Starego Testamentu, że nosiło w sobie cechy iście Mojżeszowe, a samo ujęcie pojedynku na serca, było odbiciem walki Dawida z Goljatem. Ależ, na Boga! Toć większość pomysłów sytuacyjnych Słowackiego również miała swoje źródło w rozczytywaniu się w Starym Testamencie (jak to rzeczowo udowodnił w swojej zeszytowanej prelekcji inauguracyjnej ks. rektor Szlagowski).

A Słowackiego nikt chyba o semityzm nie pomawia.

Streszczam się: literatura (zwłaszcza polska) podnosząca wszędzie i zawsze pierwiastek heroizmu, z podziwem zwraca się do tych, co umieją bronić wartości wyższych ponad życie. Potępia, bądź wyszydza wszelkie tchórzostwo i małoduszność, obojętnie przechodzi koło istot, ulegających jeno przepisom zwyczajowym.

Tam, gdzie broń znajdzie się w rękach rycerskich, gdzie dwóch ludzi rozmawia ze sobą w cudownych skrótach ostrzami mieczów, szabel, czy szpad, bądź też szczekaniem kurków — powstaje niejedno na tem podłożu arcydzieło twórcze.

Ale są figury, wchodzące w skład inteligentnego społeczeństwa, którym żaden Bożewicz nie pomoże. Z bronią nie jest im do twarzy. Jest to przeciwne ich naturze. Karykatura zostanie karykaturą.

Istnieją dwa wielkie arcydzieła literatury światowej. Wspomnijmy je tu, na zakończenie.

„Orlando Furioso” Ariosta daje nam obraz pojedynku Orlanda Szalonego, który w świetnym społeczeństwie przez Felicjana Faleńskiego błyszczą i brzęczą, jak zbroja i jak miecz. Słuchajcie tylko:

Ramię w Orlanda, ale odskoczyła
od saraceny lśniąca stal brzeszczota...

Czyście czytali gdzie podobną omaonopeję?

Drugim arcydziełem, jest przyswajany dziś na gwałt językowi polskiemu przez Boyego (nie—Boyal) romans cerwantesowski o rycerzu z La Manchy.

Zrozummy się. Ten, dla którego zbrojne spotkanie jest naturalnym wylewem temperamentu w obronie istotnych wartości, niech się ramię, jak Orland Szalony. Ale ten, który ma po partacku walczyć z wiatrakami, — niech się nie ośmiesza.

Oto, jaki „morał” da się wyciągnąć z tego pobieżnego przeglądu scen rozsianych po utworach poetów i pisarzy rozmaitych epok, kultur i ras. Mówimy, tu jedynie o pojedynku, jako odbłyśku średniowiecza, pokutującego tak często jeszcze w naszym życiu współczesnym; pozostawiłem na boku walkę pojedynczą, jako taką, bobym w tym wypadku musiał rozpocząć od wspaniałej klasycznej monomachji, choćby homerowskiej.

Zresztą — zdrowo jest nieraz porównać ze sobą rozsiane na przestrzeni wieków konflikty zbrojne poszczególnych jednostek i ich odbicie w literaturze. Widzimy stąd bowiem, że nierównie bliżsi są heroje starożytni błędnym rycerzom w stylu Orlanda, czy de Lorche'a (choćby nad nim autor roztaczał jeno życzliwy półśmiech), niż drapującym się nieraz w płaszcze heroizmu szulerom życiowym ze współ-

czesnych dramatów w rodzaju konkursowej „Leny” Jasieńczyka.

Tam wszędzie była odwaga i bohaterstwo, tu — profanacja samej sprawy, której na imię: Honor. Tam była naturalna, zgodna z charakterem działającej jednostki bohaterskiej w dosłownym znaczeniu, manifestacja gestu wewnętrznego, tu — hipokryzja i gwałt zadany naturze.

T. Hiż.

FELJETON MUZYCZNY

Nasze drobne spory i „Missa solemnis” książka p. Adré Coeroy p. t. „Dzieje muzyki francuskiej”.

Nasze małe spory muzyczne są trochę śmieszne. Niema u nas ruchu muzycznego, nie istnieją żadne kierunki, niema oczywiście reprezentantów tych kierunków, są tylko prywatne opinie ludzi, powtarzających jakieś idee, które powstawały kiedyś w głównych centrach muzycznych, i jak to zwykle u nas bywa, są spóźnione o jakieś dwadzieścia parę lat. Nikomu na myśl nie przyjdzie, że są to jałowe klótnie, nic nie wyrażające, poza prywatnymi upodobaniami poszczególnych osób. Dawno się już toczyły spory o Beethovena w Paryżu. Było to za czasów, kiedy jeszcze Debussy pisał krytyki. U nas często lubią powoływać się na jego opinie. Biorą do ręki jedną z najrozkoszniejszych książek, cudowną „Mr. Croche antidiletante” Debussy'ego, gdzie znajdujemy krytykę o koncercie Weingartnera i Pastoralnej symfonji Beethovena. Debussy nie lubi VI Symfonji i pisze o niej nieprzychylnie. Zastrzeża się jednakże, że nie należy go posądzać o brak respektu dla Beethovena. Jest tylko zdania, że człowiek genialny, nie jest obowiązany tworzyć same arcydzieła i, jeżeli do VI Symfonji będziemy stosować najwyższe pochwały, to brakłoby należytych określeń dla istotnie genialnych dzieł Beethovena. Oto wszystko.

Jakżeż to dalekie od takich opinii, jak: „Ostatnia część Appassionaty — to etiudka”, lub „Beethoven nie miał pojęcia o instrumentacji”. Są to jakieś echa i pozostałości walk, rozgrywających się zupełnie gdzieś indziej, mających odrębne znaczenie i ściśle związanych z olbrzymim ówczesnym ruchem muzycznym w Paryżu, gdzie powstawała zupełnie nowa muzyka i rodziły się nowe idee. W wirze tych walk wygłaszało się czasami umyślnie zdania bardzo radykalne, ale powtarzanie urywków tych idei dzisiaj i to u nas jest zupełnie bez znaczenia i zgoła zbyteczne. Nadajemy naszym sporom ważność tak wielką, że pierwsze wykonanie w Warszawie „Missy Solemnis” jest poprostu nic nie znaczącym drobiazgiem. Tymczasem w Paryżu dawno zapomniano o tych walkach, zupełnie inne idee zaprzętają umysły artystów-muzyków, a „Missa Solemnis” jest wykonywana tak często, jak nigdzieindziej i w setną rocznicę śmierci Beethovena grano arcydzieło muzyki religijnej w Katedrze Notre Dame. Była to wielka uroczystość.

U nas jakoś Msza D-dur budziła wątpliwości nawet u wielbicieli Beethovena. Porównywano ją z H-mol Mszą Bacha i chciano przez to obniżyć wartość „Missy

Solemnis". Są to jednak dzieła równorzędne, o jednakowo wielkiej wartości artystycznej. Beethoven w całej swej twórczości jest indywidualny i odrębny. Wytworzył sobie szczególnie w ostatnim okresie swej twórczości sposób wyrażania się, zawiły, trudny i mało przystępny. Ale jego język muzyczny jest wspaniały, natchniony i pełen głębokich myśli. Szczególnie dotyczy to dwóch dzieł: 33 fortepianowych warjacji na temat Diabelli'ego i Mszy D-dur. Wymagają one należytego zrozumienia przedewszystkiem od wykonawców. Chór Katowicki, pod dyрекcją p. Libricha, zdobył się na typowo niemiecką sumienną i dokładną interpretację, ale pozbawioną polotu i należytego odczucia potęki natchnienia, zawartej w genialnym dziele Beethovena. Zawsze byłem i jestem zdania, że interpretacja niemiecka jest gorsza od francuskiej. Arcydzieła literatury klasycznej są lepiej wykonywane w Paryżu niż w Berlinie. Charakterystyczne jest, że najlepszy chór niemiecki pod dyрекcją słynnego Siegfrieda Ochs'a nigdy „Missy Solemnis” nie śpiewał, w Paryżu zaś dzieło Beethovena cieszy się niemal popularnością. U nas w znajomość literatury muzycznej i w dobre wykonanie francuskie nie bardzo się wierzy. O kulturze muzycznej francuskiej nic się nie wie i wogóle w mniemaniu ogółu, francuska muzyka nie istnieje.

Dobrze więc zrobił redaktor wydawanej „Biblioteki Muzycznej”, p. Mateusz Gliński, że postanowił zaznaczyć publiczność z istotnym stanem rzeczy i pole-

cił doskonałemu muzykologowi, p. André Coeroy napisanie dla polskiej publiczności „Dziejów Muzyki francuskiej”. Pożyteczna ta książka przekona wreszcie wszystkich, że francuska muzyka, to nie tylko francuska operetka. Jest to nieprzerwany ciąg twórczości od panowania Merowingów aż do dzisiejszych czasów. Pierwsza praca o muzyce francuskiej w polskim języku jest książką niezbędną, która — mamy nadzieję — zachęci muzyków do bliższego zapoznania się z bogatą twórczością, o której prawie nic nie wiemy i którą mało cenimy.

P. André Coeroy opowiada nam dzieje tej muzyki w sposób przystępny, wysoce artystyczny, a w wielu wypadkach mówi o rzeczach nowych, nieznanych, oświecła niektóre zjawiska w sposób śmiały, indywidualny, niebanalny. Przeczytanie tej książki jest rzeczą miłą i bardzo pożyteczną, choćby dla zrozumienia dzisiejszej muzyki francuskiej, tak ściśle związanej charakterem z dawną. Zmieniłoby to może poglądy na twórczość współczesną i moglibyśmy lepiej i dokładniej zrozumieć takie arcyświatne dzieła, jak „Król Dawid” Honeggera, które wywołują dzisiaj tyle nieporozumień. Polecamy książkę p. Coeroy każdemu, kogo interesuje twórczość muzyczna francuska, a dodać należy, że jest ona dzisiaj dominującą w ogólnym światowym ruchu muzycznym.

Stanisław Zmigryder

„GŁOS PRAWDY” LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

MALUTKI OPIEKUN WIELKICH CELÓW

Sprawa wydaje się prostą, w istocie rzeczy jest bardzo trudną: Gdy mowa o literaturze dla dzieci trzeba przedewszystkiem określić wyraźnie dla jakich dzieci: To znaczy dla dzieci w jakim wieku?

Modnem jest dziś w Polsce narzekanie na publiczność nie czytającą książek: tu jednak, gdy mowa o dzieciach, — liczyć musimy się z publicznością, która woli z otrzymanych książek budować fortecę, czy wał, czy miasta, piramidy, lub wieże, — niż książki czytać.

Wydaje mi się, że wszystko co piszemy dla dzieci do lat siedmiu, ośmiu jest niepotrzebne. Względnie jest potrzebne, jako przesąd (treść odgrywa tu rolę przesądu) dzięki któremu dziecko może otrzymać przedmiot, w postaci książki, o twardych kartonowych okładkach i budowniczych walorach cegły, wieży i t. p.

Być może, iż pedagogzy będą odmiennego zdania i stwierdzą, że dzieci mogą i w tym wieku umieją już czytać. Być może, iż dzieci wyjątkowe, czy wyjątkowo samotne mogą nawet tak wcześnie oddawać się lekturze. Normalnie jednak sprawy biorąc, musimy sobie

szczerze powiedzieć, iż do lat ośmiu o czytaniu w sensie lektury mowy jeszcze niema.

Sam proces czytania, składania liter, kojarzenia pojęć z czytanego na rozumiane, jest jeszcze tak absorbujący, iż treść właściwa ginie bez reszty w cieniu tych mozołów.

Z powyższych względów sędzę, że cała literatura, którą wydajemy obliczając czy pisząc ją dla dzieci do lat ośmiu niema sensu i celu. Kto nie wierzy, niech posłucha jak dzieci w tym wieku opowiadają sobie bajki — i co przy tej okazji plotą. Jest to pojęciowe da-da w pełni rozkwitu, — jeden niebawiały cud spletanym walek krokodylów z lwami, tramwajami, atletami, strażakami i t. p.

Prawdziwą więc publicznością literatury dziecięcej byłaby publiczność nieco już starsza, od lat ośmiu do trzynastu, czternastu. Czternastu najwyżej, — starszy bowiem chłopak, czy dziewczynka będą sobie uważali już za punkt honoru nie czytać książek dla młodzieży a tylko dla prawdziwych dorosłych.

W owej literaturze dla publiczności od lat ośmiu do czternastu robimy wciąż jeszcze wiele błędów — jak to słusznie w jednym z poprzednich numerów dod. Literackiego zauważył był Ossendowski. Wiele błędów i wiele niedopatrzeń.

Jako pisarz dla młodzieży, — uważam bowiem, iż biorąc udział w tomach wypisów Balickiego i Maykowskiego, i mając ze strony tak doświadczonych twórców całej metody młodzieńczego czytania jakie takie uznanie, mogę uważać się za szeregowca-pisarza dla młodzieży, — godzę się z Ossendowskim, iż literatura nasza przeciążona jest nadmiernie balastem historii.

Uważam, że historję należy młodzieży opowiadać, — nie należy jednak, zwłaszcza w tak wczesnym wieku dawać do czytania. Opowiadać a dawać do czytania to olbrzymia różnica!

Opowiadanie jest żywe, i pozwoli zawsze zapomocą gestu, słowa, odpowiedniej ekspresji na wyrównanie tej nader głębokiej różnicy, jaką dla umysłu dziecka stanowi odmienna epoka i odmienny sposób dawnego, nie dzisiejszego życia.

Dzieci pamiętają znakomicie powieść żywą. Wzrusza ich ona, wierzą w nią, — mimo różnic epoki, — ponieważ dostają ten materiał jako żywe słowo.

Tensam materiał, jako pisana opowieść, staje się tak dalece trudnym, iż traci zdolność życia w fantazji i w zrozumieniu dziecka.

Z wczesnej literatury dziecięcej — wedle mego zdania — należałoby prawie zupełnie usunąć wszystkie historyczne opowieści, przygody i t. p. Rzeczy mają się tu podobnie, jak się mają z wykładem literatury. W tym wypadku, tak samo, jak z historją, zaczynamy od początku, — zamiast zaczynać od końca. Opowiadamy o Starej Baśni, Krasnoludkach, Babach-Jagach, Krukach, Wawelach, — zamiast zaczynać od wygnania Niemców, Legjonów, względnie innych najbardziej współczesnych wydarzeń.

Przykładem typowym w tej dziedzinie może być tak skądinąd wspaniała i barwna, — jeżeli chodzi o momenty sławy i glori historycznej, — wyprawa Sobieskiego pod Wiedeń. Całe bardzo starannie zbeletryzowane opowiadanie o tej wyprawie wali się, jak domek z kart w obliczu pierwszego pytania, jakie zadaje chłopiec po wysłuchaniu opowieści o szarży hussarji na Turków.

— Jak to? — pyta taki ośmioletni, czy dziesięcioletni pęćdziesięcioletni, to oni nie znali jeszcze wtedy karabinów maszynowych?!

Mały pęćdziesięcioletni słyszał już o karabinach maszynowych, — jeżeli tamci dawniej nie znali tych karabinów, to znaczy, że byli głupszy od współczesnych. Komu może imponować wysiłek głupszych?

Mam wrażenie, że tego rodzaju miara dyskwalifikuje każdy wyczyn historyczny, względnie przedstawia w najfałszywszej, pomniejszającej perspektywie i w tym właśnie, młodocianym wieku, niema na to żadnej rady.

Zagadnienie historyczne należałoby, wedle mego zdania, zastąpić odpowiednio ujęciem i współcześnie traktowanym przedstawieniem, czy rozwinięciem zagadnienia — maszyny.

Od chwili, w której młody 4, lub 6-letni chłopczek prowadzony przez matkę, czy nianię za rękę na spacer zobaczył nad swą głową szumiący samolot, od chwili, gdy chłopczek ów raz po raz ucieka, czy cofa się przed samochodem — sprawa przeszłości (oczywiście w tym wieku) glori, tradycji, wielkich uczynków i bohaterstw dawnego „naszego typu”, — t. j. ludzi,

którzy wzrastali przy sennym dźwięku tramwajów konnych, — została stanowczo przesądzona.

Niema na to żadnej rady i trzeba się z tem liczyć, jako z faktem bardzo istotnym. Należy więc, czy należałoby uwzględnić przedewszystkiem w literaturze dla dzieci, mogących już czytać nie w sensie sylabizowania, lecz lektury, moment maszyny.

Sobiescy, Kościuszkowie, Kmicice, czy smoki wawelskie, wszystko to jako wartość emotywna i budująca musi się znaleźć nie gdzieindziej, jak właśnie w zwojach telegrafu, na fali elektrycznej, w skrętach motoru, w głosie śmigła samolotu.

Zadaniem pisarza dziecięcego byłoby dziś, — wedle mego zdania, — ożywić maszynę, pokazać jej względność nawet w stosunku do nieomylnych rzekomo rachunków.

Zamiast historii — maszyna i jej życie z życiem wynalazcy, wplecionem do obrotu owej maszyny, jak życie żołnierza, czy nawet wodza wplecione jest w wielki obrót armji.

Literatura polska miałaby pośród autorów swych pisarza (miałaby, boć niewiadomo, czy uśmiecha się temu pisarzowi owa praca?) który mógłby właśnie w tej dziedzinie stworzyć nową erę: Myślę tu, — oczywiście — o Brunonie Winawerze, pisarzu, który w przedziwny sposób łączy polot fantazji z wielką prostotą wykładu.

Zamiast historii maszyna, zamiast przygód, — społeczeństwo.

Z przygodami podobnie rzeczy się mają, jak z szarżą hussarji polskiej pod Wiedniem. Chłopcy mali widzą na każdym kroku przedziwne, groźne motory, widzą chociażby najzwyczajszy przejazd straży ogniowej miejskiej na samochodach, wyglądający tak wspaniale, tak nowoczesnie, tak patetycznie i zarazem nowożytnie. Wobec przejazdu takiej straży ogniowej sentymentalne sprawy Robinzona Kruzoe wydają się banalną igraszką.

Osobnicza indywidualna przygoda nie może dziś zająć dziecka, widzącego na każdym kroku w każdej chwili wielki wysiłek zorganizowanej zbiorowości współczesnej. Jeżeli więc chcemy trafić do wyobraźni małego współczesnego człowieczka, musimy do niej przemawiać językiem sposobów i uczynków współczesnych. Dopiero na mocy tego języka współczesności odcyfruje i zrozumie ów człowieczek wymowę spraw przeszłości.

A więc zamiast bezludnej wyspy, wszelakich dzikich i tego rodzaju dziwowisk należałoby chyba wprowadzić malutkiego czytelnika drogą wysiłków jednostki na tło współczesnej zbiorowości.

Cóż to znaczy? Znaczy to, innymi słowy, — ukazać małemu człowieczkowi cały kompleks współczesnej kwestji społecznej.

Bohater książki dla dzieci, czy dla młodzieży, żyjący w rozgwarze współczesności działający w tym rozgwarze musi spełniać jakieś ważne zadanie. Nie może temu bohaterowi — po dawnemu, — chodzić o siebie samego, czy o jakąś tam porwaną przez czerwonoskórych siostrę. Bohaterowi temu musi chodzić o sprawy wspólne między ludźmi, o sprawy wiążące ich i różniące głęboko. Musi to więc być opiekun, choćby nawet malutki, — celów ogólniejszych. Wtedy stanie się typem, porywającym ogół małych czytelników. Wtedy

wzbudzi do siebie przywiązanie a karty swych, dziecinnych może nawet, przygód napelni tak pożądaną w tym wieku powagą odpowiedzialności, — nie tylko za siebie samego lecz i za drugich.

A więc, by streścić: Wedle mojego zdania literatura dla dzieci i młodzieży wymaga całkowitej przebudowy. Przebudowa możliwa jest dopiero po wytyczeniu linii kierunkowych.

Nowe linie kierunkowe: Zamiast historii — maszyna, zamiast przygody — społeczeństwo, na progu tej wielkiej dziedziny życia, którą nazywamy czytaniem.

Juljusz Kaden-Bandrowski.

NOKTURN

*Noce są jak heban o słojach z dróg mlecznych,
Sęki planet łzawią płynną żywicą,
Księżyc nasiąkł wilgocią — jest coraz bledszy,
Rozpływa się zamienia w spiralnych mgławic nicłość.*

*O dlaczego nie zajęcą świata wiązania?
My chcemy słyszeć ciszę trących o siebie gwiazd,
Dreszcz ziemi gdy ją noc rosą zapładnia,
Czemu nie zawył księżyc kiedy w ciemnościach
gasł?*

*Wszystko jest zawsze równe ciche i niezmienne —
Nigdy myśli nie przylgną ściśle jak płyn słowami
do rzeczy —
Całość trwa w równowadze dodatniem i ujemnem —
Na nocach hebanowych mleczne drogi świecą.*

Stefan Flukowski.

BURZA NAD MIASTEM

*To ciemny sztandar nieba w górze się rozpostarł
I ostrym deszczem ziemię bezlitośnie siekł
Aż grom — i niebo na dwie części rozdarł
I puścił gwiazdozbiory w opętańczy bieg.*

*A każda gwiazda splywa po rozpiętym łuku
I zlatuje na asfalt jak złocisty bicz
Každy piorun strzelisty jak telegraf stuka
Rysując hieroglify bezsensownych liczb.*

*Kamienne kamienice z nagłego przestachu
Zanoszą się na rynnach cichym, rzewnym płaczem
A wtedy się ukaze na wilgotnym dachu
Księżyc, który wie wszystko i wszystko przebacza.*

Ludwik Fryde.

NA MARGINESIE

Nad czym pracują? Ukończyli swe poezje i drukują w t. zw. Bibliotece Kwadrygi: Stanisław Ciesielczuk — Pieśń Kosmosu, Stan. Ryszard Dobrowolski — Pożegnanie Termopil, Stefan Flukowski — Słońce w kieracie, Włodzimierz Słobodnik — Cień Skrzypka, wreszcie Konstanty I. Gałczyński, — powieść p. t. Porfirjon Osielek.

Obzor, codziennie pismo wychodzące w Zagrzebiu przynosi w numerze 281 dłuższy feljton pióra znanego wśród pism słowiańskich informatora o sprawach polskich V. Dresslera o Marszałku Piłsudskim, jako pisarzu. Autor podnosi przedewszystkiem wielką szczerłość i prostotę wyrazu, jakimi odznaczają się pisma J. Piłsudskiego.

Mjr. Dr. Wacław Lipiński w 345 numerze „Polski Zbrojnej” rozpoczyna drukować swą pracę p. t. Pokłosie Dziesięciolecia (Na marginesie ostatnich prac o Marszałku Piłsudskim). W pierwszym zaraz feljtonie na mocy ścisłych danych, zestawień faktów cytat, wyjątków i t. p. poddaje major Lipiński miazdzącej krytyce książkę dra Hinczy o Marszałku Piłsudskim.

Przy końcu nader ściśle i rzeczowo pisanego feljtonu major Lipiński zawadza między innymi i o nas, — że w pobieżnej wzmiance zaleciliśmy niejako książkę Hinczy szerokiemu ogółowi. Z rzeczowej oceny wynika, iż istotnie książki tej nie należało zalecać. Mamy nadzieję, że na przyszłość fachowcy historycy-wojkowi działać będą równie celowo, jak major Lipiński, lecz nieco szybciej. Około postaci Marszałka Piłsudskiego powstaje już cała literatura panegiryczna, nie zawsze pierwszej wartości i pierwszej ścisłości faktycznej. Literaturę tego rodzaju doskonale gromi rzeczowa krytyka w rodzaju krytyki majora Lipińskiego. Życzyć jednak należy, by krytyka owa, owo pogotowie przeciwpartaackie działało prędzej, a nie dopiero wtedy, gdy książka dzięki tak ukochanej postaci Marszałka, — znajdzie już licznych odbiorców.

Dr. Otto Forst de Battaglia w II zeszytce IV tomu „Jahrbuecher fuer Kultur und Geschichte der Slaven” omawia dzieło zbiorowe Studja Staropolskie (ku czci Aleksandra Bruecknera) poświęcając każdej niemal z zawartych tam prac większy ustęp rzeczowej oceny.

Tenże sam autor w numerze z 24. 11. w literackim dodatku do wielkiego pisma Germania w artykule p. t. „Polnische Rechenschaft” daje przegląd ostatnich nowości polskich, omawiając nader trafnie ostatnie prace St. Balińskiego, J. Kaden-Bandrowskiego, Grossek-Koryckiej, Kuncewiczowej, Melcer-Rutkowskiej, Szczuckiej, Wołoszynowskiego i Zegładowicza.

Otrzymujemy pod datą 10. 12. list nast. treści:

„Dziękując za tak łaskawą i pochlebną ocenę naszego Mickiewicza, pragnę przy okazji sprostować kilka nieścisłości, które się wkradły do artykułu Sz. Pana: Otóż serja I składa się nie z trzech, lecz czterech tomów oprawnych w dwie książki; każda książka (a więc dwa tomy) kosztuje bez oprawy tylko zł. 1.20, w oprawie — zł. 1.50.

wie płóciennej ze złoceniami zł. 4.25, w oprawie skórza-nej zł. 9.

Podpisany M. Grydzewski.

Okazuje się z powyższego, że w poprzednim swym artykule p. t. „Rozkoszny Skandal”, — pomyliłem się, cytując liczby. Wydanie Mickiewicza, jest tańsze jeszcze, niż to pisałem. Tem lepiej dla publiczności, tem gorzej dla wszystkich, którzy chwaląc się spełnianiem obowiązków wobec kultury sprzedawali niejednokrotnie Mickiewicza gorzej wydanego za o wiele droższe pieniądze.

Nowości literackie. (Wydawca: Tow. Wyd. Rój) przynoszą na pierwszej stronie rozważania na temat wnętrza mieszkań, a książki ozdobnej w skórę, stwierdzając, że książka oprawna w skórę jest piękna, dekoracyjną ozdobą pokoju. Domyślamy się bez trudności, że Rojowi więcej chodzi o książkę, niż o skórę. Że za pośrednictwem skóry chce trafić do mózgu p. t. publiczności. Zgadza się z tego rodzaju postawieniem sprawy: Trzeba czytelnikowi podawać książkę w formie najłatwiejszej i najpotężniejszej.

Tanie mieszkania robotnicze posiadały swego czasu półki na książki z wyrobionymi fabrycznie grzbiętami książek, opatrzonymi napisami Goethe, Schiller, Heine, Byron i t. p. Były to, — że tak powiemy, — potemkinowskie biblioteki, same grzbiety tylko, bez właściwej książki. Pierwszy ten snobizm jest jednak zawsze zwiastunem przemiany stosunku do książki z sztucznego na właściwy.

Niech publiczność nasza zacznie kupować Dostojewskiego, czy Tomasza Manna dla skóry w którą będą oprawieni. Nacieszywszy się skórą zacznie niebawem cieszyć się książką.

Nowości literackie dają ciekawe zestawienie ze swej biblioteki powieściowej:

W r. 1927: 7 tomów pisarzy polskich, 5 ros., 4 franc., 5 ang., 2 niem., 1 duńsk.

W r. 1928: 5 tomów pisarzy polskich, 4 ros., 1 francuskich, 9 ang., 2 niem., 2 duńsk., 1 hiszp.

W r. 1929: „uwzględniając stałe życzenia prenumeratorów” ma Rój dać więcej oryginalnych powieści polskich.

Przy PEN-Klubie powstała sekcja tłumaczy z obcych języków na polskie. Ze składu personalnego sekcji (Boyé, Rogowicz, Wat, Zagórska i w. in.) wnosić można, że sekcja ustali pewien literacki poziom wśród przekładowców temsamem uporządkuje stosunki panujące dotychczas w tej dziedzinie.

PEN-Klub wyznacza nagrody (1.000 złotych) za przekład z obcych języków na polskie i 2000 zł. z polskiego na któryś z obcych języków. Premjowanie przekładów wydaje się nam rzeczą celową, z polskiego zaś na obce języki nie pozbawioną cech rozumnej propagandy.

Dyskusję, którą w drukowanych swych programach teatralnych rozpoczął całym szeregiem nieuzasadnionych wytknięć w stronę krytyka działu teatralnego naszego pisma E. Breitera p. A. Szyfman, uważamy za początek poważniejszej rozprawy, jaką niezależni krytycy teatralni powinni przeprowadzić tak

w dziedzinie programu teatrów w stolicy, jakoteż w dziedzinie stosunków, łączących poszczególne kierownictwa teatralne z odłamami krytyki.

Nie występujemy tu w obronie p. Breitera, który najlepszą obronę ma w swem piórze i w słuszności swych wywodów. Zwracamy jednak uwagę ogółu na samo starcie, które oby jaknajrychlej przemieniło się w rzeczywistą kampanję. Kampanja taka oczyścić może atmosferę, i przyczynić się znacznie do podniesienia poziomu pracy teatrów stolicy.

jkb.

ODPOWIEDŹ NA PYTANIE

(W odpowiedzi p. Kleinowi na artykuł dyskusyjny p. t. „Poco”, drukowany w „Głosie Prawdy”, tygodniku nr. 272 z dnia 18 listopada 1928.)

P. Klein nie zrozumiał niestety intencji mojego artykułu¹⁾, a co gorsza w swej dyskusyjnej odpowiedzi poruszał się po linii najmniejszego oporu, nie zadając sobie trudu skonstataowania, w jakim stosunku artykuł mój stoi do t. zw. Kwestji dzisiejszości.²⁾ Na całą sprawę, poruszoną przeze mnie popatrzył więc p. Klein przez dziurkę od klucza. Zamku nie otworzył. Metoda patrzenia przez dziurkę od klucza jest bardzo niewygodna, gdyż patrzący widzi zawsze wtedy, tylko mały fragment tego, co się wewnątrz dzieje. Niekiedy nawet nic nie widzi. Cały zatem mój atak zredukował wyniośle p. Klein do słowa: poco?, rozprawił się gładko, a niepotrzebnie ze stroną formalną artykułu, przechodząc do porządku dziennego nad jego istotą. Taki strzał z nienabitego floweru ma tę dogodność, że nikogo nie rani, a strzelającemu daje złudzenie strzału. Jest to środek działania niezawodny, wypróbowany i zdrowy.

Neoklasycyzm stoi ante portas naszej literatury współczesnej, lub może znajduje się już w jej murach. W tym neoklasycyzmie jestem twórczo zaangażowany. Zabieram więc głos, jako poeta neoklasyczny, a nie jako krytyk. Z punktu widzenia zatem indywidualnych postulatów staram się zrehabilitować tę epokę polskiej literatury narodowej, z którą wiąże mnie (i mnie bliskich) wiele nici duchowego pokrewieństwa.³⁾ Z chwilą więc, gdy pojawiły się pierwsze jaskółki neoklasycyzmu na horyzoncie literatury polskiej, należy przeprowadzić rewizję poglądów estetycznych na tę epokę polskiej literatury, z którą współczesny neoklasycyzm stoi w związku duchowym.

W stosunku do literatury obowiązuje metoda utylitarności twórczej. Niekiedy musimy przechodzić

¹⁾ Dezorganizator twórczości poetyckiej „Głos Prawdy”, tygodnik nr. 219.

²⁾ P. Klein w artykule swoim nie wystąpił właściwie w obronie Goszczyńskiego, lecz zarzucił mi, że artykuł mój nie był zasadniczo „Koniecznym wynikiem sytuacji obecnej”.

³⁾ Zaznaczam, że w niniejszym artykule szkicuję tylko pewne myśli, na których szersze omówienie nie pozwalają ramy odpowiedzi.

do porządku dziennego nad twórczością tego lub owego poety, właśnie w imieniu naszych wymagań formalnych i postulatów epoki, wobec której dana twórczość w żaden sposób nie może się ostać. W literaturze jednak istnieje jedno bezwzględne kryterium artystyczne wydzwignięte ponad czas, ponad ewolucje epoki: zasada dobrej składni, dobrego, oryginalnego języka i stylu. Styl, język i składnia — oto bezwzględny, mienaruszalny sprawdzian żywotności talentu w perspektywie historycznej.

Tam, gdzie te zasadnicze czynniki zostały pogwałcone, tam mamy prawo z czystym sumieniem potępić poetę.⁴⁾ Romantyzm obszedł się niesprawiedliwie z t. zw. klasycyzmem warszawsko-wileńskim, stracił go z piedestału wielkiej poezji.⁵⁾ Ostateczny cios zadał mu Mickiewicz rozprawą swoją p. t. O krytykach i recenzentach warszawskich.⁶⁾ Atak Mickiewicza nie dziwi nas. Lecz rzeczą godną podziwu jest fakt, że dzisiaj po 100 latach ciągle jeszcze patrzymy na klasycyzm warszawsko-wileński przez okulary poglądów romantyków. O klasycyzmie warszawsko-wileńskim myślimy ciągle jeszcze kategoriami XIX w.⁷⁾

⁴⁾ Cóżby dziś pozostało z twórczości Kochanowskiego, gdyby nie jego cudowny język! Cóżby pozostało po Trembeckim, gdyby nie jego genialny styl!

⁵⁾ Jak słusznie zauważył F. S. Dmochowski w ulotce swojej „Odpowiedź na pismo p. Mickiewicza o krytykach i recenzentach warsz. i t. d.“ Warszawa 1829 — Mickiewicz w rozprawie swojej zlekceważył zupełnie dwa ostatnie okresy literatury polskiej, przekraczając bardzo często fakty stojące w związku z działalnością klasyków warsz.

⁶⁾ Atak ten jest pamfletem. Artykuł jest źle przemyślany, pełen nieścisłości formalnych. Wyrządza on ogromną krzywdę klasykom. Rzeczony artykuł napisał Mickiewicz pod wrażeniem chwili. Umiał jednak Mickiewicz patrzeć obiektywnie na klasyków warszawskich. Świadczy o tem list Mickiewicza z marca 1827 r. (z Moskwy) do Odyńca:

„Gniewałeś się na Dmochowskiego, a ja go dziesięć razy kładę nad dziennikarżów. Dobrze po polsku pisze, głupstw nie gada, — wiersze jego przynajmniej gładkie i poprawne. Dmochowski jeśli będzie pracował, wydzie na dobrego literata i wolałbym, żebyś się z nim pobratał, aniżeli z owymi nibyto romantykami od których zgłupieć można“ (kor. I. IV. Str. 90)

W liście z dn. 1 maja 1829 r. pisze Mickiewicz do Odyńca (z Petersburga):

„Żałuję trochę, że drasnął Grzymałę; o ile przypominam, jego artykuł jeśli nie miał wielkich literackich zalet przynajmniej pokazywał śmieszne widoki pisania; duch szlachetny; kiedyś go przeproszę“ (kor. I. I. Str. 45).

List ten pisał Mickiewicz już po ataku swoim na klasyków. Jak już wyżej zaznaczyłem Mick. pamflet swój pisał pod wrażeniem chwili — śmiem twierdzić, że pamflet ten był nawet wynikiem chwilowego kaprysu. Świadczy o tem wzmianka w liście do Odyńca (1 maja 1829 r. z Petersburga):

„Dla mnie zapewne byłoby lepiej nikogo nie zaczepiać, wiesz, że jestem w poźyciu bardzo tolerujący człowiek i ze wszystkimi w zgodzie, ale mnie znudziła klasyczna hołota; pokaże, że się ich wszystkich nie boję“.

Żywy dokument kapryśnego nastroju Mickiewicza.

⁷⁾ Patrz artykuł mój: o rehabilitację twórczości poetyckiej R. Koźmiana, Dod. Lit. „Głosu Prawdy“ Nr. 224.

Patrzmy na tę epokę klasycyzmu warszawsko-wileńskiego przez paszkwil Mickiewicza, artykuł Witwickiego⁸⁾, przez zwarjowane wybryki Odyńca i całą sferę niepowołanych maklerów romantyzmu.

Gdyby nie romantyka, nigdybyśmy się nie zetknęli z klasycyzmem warszawskim. Ze względu tylko na Mickiewicza „raczymy znać“ (tylko z tytułu) „Ziemiaństwo“ Koźmiana i „Sztukę Rymotwórczą“ Dmochowskiego.⁹⁾ Klasycyzm warsz. dotychczas nie jest traktowany odrębnie z pełnemi honorami, lecz ciągle jeszcze odgrywa rolę tylko dekoracyjną — rolę statysty, z którym spotykamy się tylko okolicznościowo i epizodycznie.

Chodzi mi więc o bezwzględne przeprowadzenie rewizji poglądów estetycznych na klasycyzm warsz., który w opinii społeczeństwa (i powiedzmy otwarcie: poetów współczesnych) stoi istotnie niżej, od najpotworniejszego nawet romantyka.

Do bastarda polskiego piśmiennictwa — klasycyzmu warszawskiego, — ciągle jeszcze odnosimy się z niedowierzaniem, zbliżając się do niego z dużą dozą oprzedzenia, bo przecież tysiąc wierszy o sadzeniu grochu napisał czołowy poeta tej nieszczęsnej epoki! Bo przecież klasycy skonkretyzowali istotę metafory i wyjaśnili, że nie istnieje ona po to, by rzecz prostą zaciemnić, lecz po to, by rzecz prostą jeszcze prościej wyrazić! Bo przecież poetyka klasyczna pierwsza u nas wyjaśniła ideę pracy twórczej i ekonomję wyrazu poetyckiego.¹⁰⁾

Atakując Goszczyńskiego, chciałem zatem wskazać na nasz anormalny stosunek do pewnych przejawów romantycznej twórczości — chciałem odświeżyć w pamięci czytelników te epizody romantyzmu polskiego, które zsyntetyzowane stworzyły żelazną balustradę oddzielającą nas od klasycyzmu warszawskiego. Goszczyński był dla mnie tylko doskonałym przykładem pseudo-romantyzmu. Atak na Goszczyńskiego nie był dla mnie nigdy celem samym w sobie.

P. Klein twierdzi, że niepotrzebnie fatygowałem się wywaleniem drzwi od stu lat stojących otworem. Wystawił mi całą kolumnę krytyk, którzy ongiś dostatecznie już rozprawili się z Goszczyńskim. Dobrze. Artykuł mój jest nieoryginalny. Wszystkie zarzuty zdefiniowano już przede mną. Czy z tych jednak zarzutów wyciągnięto jakieś daleko idące konsekwencje? Czy zarzuty służyły jakiemuś dalszemu celowi? Czy zdefiniowawszy ujemnie stanowisko (artystyczne) tego lub owego romantyka, starano się o ostateczną rewizję tych wszystkich kwestyj, które się nawzajem o siebie ząbają i nawzajem się przenikają? Nie! Sekcje literackie kończyły się zazwyczaj bezproduktywnie, gdyż prócz zapachu wiekowej formaliny, nie dawały żadnego istotnego wyniku. Była to praca bezproduktywna, niewydajna.

W zakończeniu swojego artykułu wygłasza nagle p. Klein perorę na temat słowa i człowieka. Skok Fi-

⁸⁾ O reputacjach literackich. Gaz. Warsz. 1822.

⁹⁾ Wiele ciekawych rzeczy mogłoby się z tej książki nauczyć współczesni nasi — nawet najwięksi — poeci.

¹⁰⁾ Dmochowski: Sztuka rymotwórcza 1788.

lipa z Konopi? Nie wiem o co chodzi p. Kleinowi? Przecież nie pochwalam hipertrofji słowa! Walczmy o człowieka! Zgoda! Przyznam się jednak, że wolę bardziej Trembeckiego łobuza i zawadżkę, lecz świętego poetę, niż Goszczyńskiego, szlachetnego człowieka, lecz grafomana.

Roman Brandstaetter.

V A R I A

Nagrodę Goncourt'ów otrzymał pisarz Constantin Weyer za powieść „Un homme se penche sur son passé”.

Weyer ma 47 lat. W 1907 roku wyjeżdża do Ameryki, przebywa 12 lat w Manitoba, w Kanadzie, 4 lata walczy w armji francuskiej na frontach: francuskim i macedońskim. Ciężko ranny otrzymuje Legję Honorową. W 1920 r. wyjeżdża znów do Kanady na krótko i wraca do Francji zpowrotem. Pracuje jako redaktor pism prowincjonalnych i pisze swą wielką epopeję kanadyjską: *Vers L'ouest, Manitoba, La Bourrasque, Cinq eclats de silex, Cavalier de la salle* i ostatni nagrodzony. Pozatem tłumaczy z angielskiego Thackeray'a, Cremieux nazywa go Londonem francuskim, Pierremille „dumnym pisarzem i wspaniałym francuzem”.

Nagrodę Femina wygrała pani Dominique D'Unois za książkę: *Georgette Garoux*.

Nagrodę Theophraste-Renaudot otrzymał André Obey za książkę *Le joueur de triangle*.

W listopadowych wydawnictwach francuskich dzienników ukazały się: w *Revue des deux Mondes*: listy Edmunda Rostand'a z czasów wojny, opowiadania Maurice Pernot z serji wrażeń z Bałkanów Jugosławia w dni próby; w *Revue de Paris* początek romanu kryminalnego Julien Greena p. t. „Lewiatan”; dziennik Prospera Merimée. W *Mercure de France* studjum A. Chevalier o dwu redakcjach szekspirowskiego *Hamleta*.

Nowa powieść André Gide'a ma nosić tytuł „Szkoła Kobiet”.

W serji życiorysów — Romanse wybitnych osobistości ukazała się książka George'a Lecompte'a „Bohaterskie i sławne życie Carnot”.

François de Croisset wydaje obecnie wspomnienia o Robercie de Flers'ie i ostatnią sztukę teatralną pisaną wspólnie ze zmarłym dramaturgiem p. t. „Genewskie uwodzicielki”.

W najbliższym czasie ukaże się w tłumaczeniu Guy de Pourtales'a „Trylogja Szekspirowska”, zawierająca „Miarkę za Miarkę”, „Burzę” i „Hamleta”.

Bracia Taureaux pracują nad książką, która ma zamiar rozwinąć temat dawniejszego ich opowiadania

p. t. „Bracia — wrogowie”. Akcja toczy się w Genewie podczas Reformacji.

Ukazało się angielskie tłumaczenie „Czarciego Mostu” Aldanowa.

W pośmiertnem wydaniu utworów Franciszka Kafka, niedawno zmarłego beletrysty niemieckiego ukazał się „Zamek” i „Ameryka”. Krytyka niemiecka uważała Kafka za jednego z najoryginalniejszych pisarzy współczesnych.

KRONIKA LITERACKA

Nagroda Figuiere'a.

Wydawca paryski Eugenjusz Figuiere ufundował w r. b. nagrodę literacką w kwocie 50.000 franków. Jest to jedna z najwyższych nagród literackich we Francji. Po raz pierwszy otrzymał ją młody, trzydziestoletni prozator Emanuel Bove, z pochodzenia rosjanin, który zwrócił na siebie uwagę Colette powieścią, p. t. „Moi przyjaciele”.

Twórczość Bove'a pozostaje pod silnym wpływem Dostojewskiego i jest wysoko ceniona przez krytyków francuskich. Najlepszą gwarancją tego, że nagroda dostała się w odpowiednie ręce, jest skład sądu konkursowego, w którym m. inn. brali udział Herriot, Maurois, bracia Tharaud i Giradoux.

Rocznica śmierci Apollinaire'a.

Wilhelm de Kostrowicki Apollinaire, niezwykle uzdolniony poeta, essay'ista i krytyk francuski pochodzenia polskiego zginął przed 10-u laty na froncie niemieckim. Rocznicą śmierci prekursora najmłodszej twórczości francuskiej minęła prawie bez echa.

Apollinaire przechodził w swej twórczości różne koleje. Od symbolistów, których wpływy były największe w okresie lat 90-tych ubiegłego stulecia, przeszedł pod znak Rimbauda i Whitmana, stając na czele t. zw. modernizmu francuskiego.

Z tych czasów pochodzą głośne „Kaligramy” w których układ graficzny miał dać wraz z tekstem jednolite wrażenie. Sposoby te, mało zresztą posiadające, wspólnego z literaturą, dały Apollinaire'owi szerokie pole do popisu. Oryginalny umysł i dowcip zrobiły swoje. „Kaligramy” były sensacją dnia.

Również w dziedzinie noweli i dramatu posiada Apollinaire wybitne zasługi. Z jego szkoły wyszedł Marceli Schwob, Jacob i inni. Wpływy Apollinaire'a niedocenione może odnaleźć można u większości młodych przedstawicieli literatur europejskich.

Harold Lloyd a literatura.

Popularny aktor filmowy Harold Lloyd wydał przed niedawnym czasem pamiętniki. Jest to prawdopodobnie pierwszy wypadek, autentycznej biografji aktora filmowego. Książka Lloyda ma poważne pretensje do literatury i cieszy się w Stanach niebywałem powodzeniem.

Pułkownik Lawrence.

Pułkownik angielski wojsk kolonialnych D. Lawrence napisał książkę p. t. „Powstanie na pustyni”. Książka ta, opowiadająca o powstaniu szczepów arabskich przeciw anglikom, pozyskała sobie światowy rozgłos wskutek świetnych walorów pisarskich p. Tr. Lawrence'a. „Powstanie na pustyni” zostało przełożone na kilka języków, a autor, pułkownik - literat, który jest dotychczas pilotem w Indjach, pisze drugą książkę, w którą czekają z napięciem wydawcy londyńscy.

Colette — oficerem Legji Honorowej.

Znana autorka francuska Colette została odznaczona oficerską Legją Honorową, w uznaniu zasług położonych dla literatury.

Spór o tytuł książki.

Wdowa po sekretarzu Victora Hugo, Ryszardzie Leselide wytoczyła proces autorce francuskiej p. Titayna o tytuł książki. Pani Leselide oskarża Titaynę o plagiat tytułu powieści „Voyage autor de ma maitresse”.

Sąd będzie miał do rozstrzygnięcia zasadniczą kwestję. Jak długo trwa prawo autorskie tytułu książki i czy podlega ochronie prawnej, jako utwór autora.

Dom literatury w Paryżu.

Na mocy testamentu pisarza Emila Blemont powstanie w Paryżu dom literatury. Fundacja Blemonta obejmuje budowę domu dla pisarzy wszystkich narodowości. Przy domu znajdować się będzie biblioteka, muzeum i rodzaj akademii, przydzielającej coroczne nagrody literackie. Dom literatury służyć będzie idei zbliżenia narodów przez literaturę.

W styczniu rozpocznie swą działalność fundacja Blemonta w dziale nagród literackich.

Śmierć głośnego dramaturga hiszpańskiego.

W Barcelonie zmarł jeden z najwybitniejszych pisarzy katolickich Ignacio (Ignacy) Iglesias. Zmarły był niezwykle płodnym autorem. Sztuki jego pisane pod wpływem Ibsena zdobyły w Hiszpanji ogromne powodzenie i były również wystawiane w teatrach paryskich. W ostatnich czasach Iglesias żył samotnie w Katalonji, czczony przez naród narówni z największymi działaczami, kraju.

Nagroda za nowelę „Berliner Illustrierte Zeitung”.

Powyzsze pismo berlińskie dobrze się zaśluzylu literaturze niemieckiej przez rozpisanie konkursu na najlepszą, krótką nowelę. Obecnie ogłoszono rezultaty konkursu. Pierwszą nagrodę w kwocie 3000 marek otrzymało 5-u pisarzy, pomiędzy nimi Arnold Zweig. Poza tem zakupilo wydawnictwo szereg nowel mlodych i nieznanym autorow.

Inicjatywa berlińska winna się spotkać z uznaniem i naśladownictwem.

Dziesięciolecie „Roma futurista”.

Z powodu 10-lecia powstania tygodnika futurystów włoskich „Roma futurista” urządony został w Rzymie bankiet, w którym brali udział najwybitniejsi dygnitarze faszystowscy.

Przewodniczył Marinetti, który wygłosił przemówienie o znaczeniu futuryzmu dla ideologii faszystowskiej.

Program grupy „Dziesięciu”.

Grupa „Dziesięciu”, której przewodzą Marinetti i Morelli, ogłosiła program swej działalności.

Raz do roku przyznawana będzie nagroda w kwocie 10,000 lirów dla młodego pisarza włoskiego. Grupa prowadzić będzie wydawnictwo klasycznych dzieł literatury włoskiej, oraz wyda corocznie 12 powieści włoskich, po cztery w językach: hiszpańskim, francuskim i angielskim.

Pozatem grupa „Dziesięciu” wyda raz do roku antologię najcenniejszych utworów pisarzy obcych, oraz popierać będzie tych wydawców, którzy wydają utwory mlodych i nieznanym pisarzy Italji.

Należy zaznaczyć, że ze względu na skład grupy, do której należą potentaci przemysłu i handlu włoskiego oraz na poparcie rządu, będzie ten obszerny program zrealizowany. Czekają więc Italję nowy okres rozkwitu literatury we wszystkich dziedzinach.

Lekarz, laureat nagrody Nobla, — wybitnym pisarzem.

Jak donoszą pisma francuskie tegoroczny laureat nagrody lekarskiej Nobla, prof. Nicolle, jest również pisarzem, który ma za sobą trzy książki o zgoła nieprzeciętnej wartości.

Pamiętniki brata Dostojewskiego.

W Leningradzie odnaleziono rękopis pamiętnika brata Dostojewskiego. Całość rękopisu obejmuje około 1200 stron i jest nieocenionym źródłem do poznania i charakterystyki autora „Zbrodni i kary”. Jest to kronika rodzinna, w której odmalowane są stosunki w rodzinie Dostojewskich, warunki wychowania oraz charakterystyki rodziców.

Pisma rosyjskie zapowiadają wydanie całości rękopisu.

Jeszcze o literaturze proletariackiej.

Pismo niemieckiej lewicy literackiej „Die Neue Bücherschau” ogłosiło wśród pisarzy i essayistów niemieckich ankietę, sformułowaną w następujący sposób: czy wierzy pan w istnienie literatury i sztuki, które odzwierciedlają dążenia klasy robotniczej? Kogo uważa pan za najwybitniejszego przedstawiciela tego kierunku?

Na ankietę tę odpowiedział szereg pisarzy. Głośny literat-dziennikarz Artur Holitscha oświadcza, że najwybitniejszym z żyjących pisarzy proletariackich jest czech Piotr Berruc.

Zweig w Rosji.

W wydawnictwie leningradzkim „Wremja” ukazało się zbiorowe wydanie dzieł Stefana Zweiga z przedmową Gorkija, w 7-u tomach.

Czeska akcja propagandy literackiej zagranicą.

Czesi zabrali się ostatnio do energicznej i celowej propagandy swej literatury zagranicą. Prócz szeregu numerów specjalnych pism francuskich i niemieckich poświęconych Czechosłowacji, ukazały się ostatnio antologie twórczości czeskiej w języku niemieckim, a nawet w portugalskim.

Antologie te układane przez specjalistów dają przegląd twórczości czeskiej na przestrzeni 5-u wieków.

Co zapowiadają rosyjskie pisma literackie na rok 1929.

Zasopisma literackie w Rosji rozstały swym czytelnikom prospekty na rok 1929 z wyszczególnieniem utworów, które będą drukowane i autorów, którzy wystąpią z nowymi rzeczami. Moskiewski „Nowyj Mir” zapowiada powieść Małyszki „Sewastopol”, Aleks. Tołstoja „Rok 1919”, Lidina „Poszukiwacze” oraz utwory Fedina, Babela, Pilniaka, Lawreniewa, Sejfulinnej, Gładkowa, Katajewa, Leonowa i innych. Prospekt zapowiada załączanie dodatków ilustrowanych, barwnych.

„Krasnaja Now” zapowiada ciąg dalszy „Życia Klimenta Samgina” Gorkija, i powieść Iwanowa „Kreml”.

NOWOŚCI FRANCUSKIE

(Powieść młodego pisarza francuskiego Malraux „Les Conquerants” wyszła tej jesieni równocześnie w Paryżu po francusku (u Grassef’a) i w Niemczech w tłumaczeniu niemieckim).

Książka ta w powodzi jesiennych wydawnictw zwróciła na siebie powszechną uwagę. Co krok spotykałem w pismach pochlebne, nieraz nawet entuzjastyczne krytyki o niej Jaloux Morand’a (Nouvelles Littéraires), Thibaudet’a (Candide), Lalou (R. Des vivants) i innych. Jedynie Gabriel Marcel w Europe Nouvelle zarzuca jej brak jasności i brak perspektywy artystycznej wobec wypadków realnych.

Szereg entuzjastycznych krytyk o Malraux ukazało się również w Niemczech.

Powieść ta odbywa się na tle rewolucji w Chinach, jest przytem ścisłym sprawozdaniem dokonywujących się tam wypadków.

Czytamy ją z zapartym oddechem od pierwszej strony do ostatniej tak zaraża prawdą obserwacji i głębią myśli.

Malraux jest francuzem wychowanym w Chinach, posiadającym język tego kraju. (Pierwsza jego książka „Pokusa Zachodu” zbiór listów apokryficznych francuza i chińczyka, wyszła w języku chińskim).

Malraux był sam obecny w Chinach w epoce rewolucji, prawdopodobnie brał w niej nawet udział, bo Morand pisze, że go widział później w Sajgonie „ściganego, wychudłego, podobnego prędzej do widma niż do człowieka” i słusznie Morand dodaje, że ten młody pisarz przeżył na własnej skórze to, o czym marzyło i pisało wielu francuzów niezdolnych do bezpośredniego zetknięcia się z życiem i bujających w abstrakcji czy łzawej deklamacji, że on dopiero *ma prawo pisać książki niebezpieczne*”.

Ta bezpośredniość spostrzeżenia i bliskość czynu stwarza również siłę jego stylu plastycznego a suchego jak sprawozdanie.

Treścią książki są wypadki w Chinach latem roku 1925: strajk generalny, paraliżujący wszelki handel w Hong Kong, porażki armij finansowanych przez Anglię, walki wewnętrzne o ogłoszenie dekretu zakazującego wstępu do Kantonu statkom, które się zatrzymały w Hong Kong.

Widzimy na tle tych wypadków podanych z całkowitą ścisłością historyczną szereg postaci rewolucjonistów, ich świat wewnętrzny, współpracę czy walkę między sobą, przecinające się i kombinujące wpływy komunistyczne, demokratyczne, zachodnio i wschodnio-europejskie, narodowo-chińskie, widzimy tłum chiński, nędzę chińską i nowe budzące się dopiero oblicze młodych Chin.

Jednym z momentów decydujących tej rewolucji było przebudzenie się indywidualizmu w masach. Wychowane w mętnych wierzeniach religijnych, wyszykiwane w straszliwy sposób, żyjące garstką ryżu a nieraz wprost zdychające z głodu, zaczynają one rozumieć, że mają prawo do życia. Przytem propaganda antireligijna potęguje w nich świadomość, że to życie ich jest *jedyną* i o to jedynie istnienie walczyć zaczynają z fanatyzmem i nienawiścią, ci co do niedawna jeszcze byli uważani za element absolutnie bierny i niezdolny do walki.

Z ponurego gruntu nieprawdopodobnej nędzy wyrastają teroryści, jak Hong, mordujący z za węgla wszystkich, którzy reprezentują dla niego znienawidzoną warstwę uprzywilejowaną, na nastrojach tych mas wyzutych z wszelkich praw grają agitatorzy bolszewicy, „fachowcy” rewolucji.

W książce Malraux uderza nas, — do jakiego stopnia problemy przełamujące się na wschodnie przez przyzmat całkiem innych niż u nas warunków w istocie swojej pozostają te same wszędzie.

Naokoło centralnej postaci powieści, Gazina, szefa propagandy rewolucyjnej, najbliższego pomocnika Borodina (Borodin jest jedyną postacią historyczną tej książki), widzimy innych rewolucjonistów: Niemca Kleina, rosjanina Nikołajewa, chińczyka Hong’a i również chińczyka Czeng Day’a. Ten ostatni ma magiczny wpływ na masy dzięki swej nieskazitelności moralnej i ofiarności. Ogromny majątek, który posiadał użył na szpitale, na pomoc najbiedniejszym, występuje on tutaj w roli chińskiego Ghandiego. Walcząc o narodową niezależność Chin jest on z początku sojusznikiem Borodina. Rozwój walk wykazuje zasadniczą rozbieżność nie tylko metod ale i celów tego wodza chińskiego ruchu wolnościowego z metodami i celami wysłańców Międzynarodówki, jak również i chińskich terorystów. Oplaca on śmiercią opór swój przeciw militaryzacji i zbolszewizowaniu Chin, a i śmierć jego nawet zostaje wyzyskana dla celów jemu właśnie najbardziej przeciwnych.

Cudzoziemcy, którzy tu napłynęli by organizować rewolucję i wojnę z Anglią, są przeważnie ludźmi nie mającymi nic z masą chińską wspólnego, grającymi jednak zresztą na ich nastrojach.

Uderza nihilizm tych ludzi, nienawiść nie do tego czy innego ustroju społecznego, ale do każdego ustroju wogóle, nienawiść do każdego człowieka żyjącego bezpiecznie.

„Wstrętna jest rewolucja” — mówi Gazin, „ale przecie mniej wstrętna niż wszelka inna forma istnienia”. Przyznaje się w innym miejscu, że ludzi wogóle nie lubi, staje po stronie mas uciemionych, wiedząc, że jeżeli te masy dojdą za 5 lat do lepszego istnienia że z nimi również walczyć będzie, że będą mu również wstrętne jak terazniejsza burżuazja.

Rewolucja przestaje być drogą do celu, a staje się *celem sama w sobie*. Głęboki smutek trawi wszystkich tych ludzi, nie widzimy nigdy uśmiechu na ich twarzach, rozpętawszy straszliwą burzę w imię człowieka, w człowieka tego nie wierzą i nie kochają go.

Przepaść dzieląca masy chińskie od tych cudzoziemców, kierujących ruchem rewolucyjnym pogłębia jeszcze tragizm sytuacji i ich oderwanie od życia.

Najbliższy współpracownik i przyjaciel Gazina wraz z trzema towarzyszami zostaje zamordowany w jednym z kantońskich domów publicznych.

Gazin patrzy na trupa przyjaciela zeszywniałego, ustawionego w pustej sali zebrań z wyciętymi powiekami i z potwornie rozszerzonymi ustami szablą czy brzytwą, widzi nieprzytomną rozpacz jego kochanki. Sam jest już ciężko chory na paludyzm i malarję, ma wysoką gorączkę.

Wracając do siebie, pół bredząc, stawia znaki zapytania przed wszystkim, co w życiu działał.

Ostatnia część powieści to monolog Gazina, przezywany morderstwami, aresztowaniami — rozstrzeliwaniem agentów zatruwających studnie, szpiegów, prowokatorów.

Wyczuwamy, czytając te stronicę, nastrój szpitala, w którym leży chory Gazin, zapach eteru, upał i mirjady owadów latających naokoło lamp elektrycznych, noce w „Czeka” chińskiej, zaduch, słodki zapach kwiatów zmieszany z zapachem błota i nafty, widzimy sztywno jak pale ustawione trupy pomordowanych. I na tem tle słuchamy monologu Gazina, którego ściga świadomość absurdu życia i każdego ludzkiego istnienia i który walczy z tą świadomością brnięcia niezłomie coraz dalej w morzu krwi.

Kończy się książka zwycięstwem wojsk czerwonych i wyjazdem chorego Gazina do Europy.

Autor nie podaje nam żadnych łatwych wniosków, nie nasuwa nam ich nawet, ale daje zato przebogaty i niewątpliwie autentyczny materiał historyczny i psychologiczny.

Przeżywamy dzięki niemu rewolucję chińską od wewnątrz jak własny dramat.

J. Czapski

ODPOWIEDZI

W. J. Nie skorzystamy z tego rodzaju gawęd, — mimo, że zebrano je bardzo dowcipnie. Dawnym obyczajem zainteresować się będą mogły pisma innego typu np. Kobieta Współczesna, czy może Bluszcz?

W. Piński: Redakcja rękopisów nie zwraca. Z artykułu skorzystamy.

Student K. Z. Ależ oczywiście, — otrzyma Pan numer pisma z racji dziesięciolecia Niepodległości, — nie trzeba protekcji. Proszę udać się do administracji naszego Dziennika, numery te można jeszcze nabyć.

P-r. J-i: Gdy czytaliśmy pańskie wiersze ogarnęło nas przerażenie w pierwszej chwili. Niby wychodzi na to, że stało się coś okropnego, jakieś pożary, lasy, awantury. Ale to tylko słowa, — w gruncie rzeczy nic się w tych wierszach nie dzieje. Po cóż więc cały ten hałas?

Fer. Wiersz ten wydrukujemy, gdyż jest lepszy od innych. Mamy i tu swe zastrzeżenia, — wrażenie całości jednak jest „za” wierszem. Dyskusja zgola nie równa. Pan może sobie pisać cały list, my odpowiadać musimy w kilku wierszach. W dyskusjach naszych pobijają nas zawsze nasi korespondenci.

Ludwik Fryde: Pójdzie pierwszy z nadesłanych wierszy, gdyż ma rytm, jest żywy, tętni, burzy się, tworzy kadencję. Inne zaś ciula! Pan z trudem, myśl uciekała Panu raz po raz, co zresztą odbija się nawet w fakturze. Kochana, dobra poezja — nigdy nie da się oszukać!

Hub. Częstochowa: Wszystko źle — Drogi Panie. Żadne tam — „szczęścia podwoje”, żadne „serca”, żadne „płowe włosy” itp. Nie wykrzesze Pan nigdy z tego poezji. Natomiast używszy we właściwym czasie, we właściwej psychologicznej chwili słowa „kartofle” — może Panu pobudzić czytelników do lez. Trzeba więc szukać tej psychologicznej chwili. Żeby najprostsze słowo trafiło celnie, nie zostawiając w czytelniku żadnych wąhań.

Judym Kraków: Niechże Pan powie, — jaka to olbrzymia przyjemność: Koperta po kopercie jedne za drugimi kiepskie wiersze, aż tu nagle wiersz Pana równy, pełny, dźwięczny, pełen wycucia rzeczy, powietrza i przestrzeni. Naturalnie, że wydrukujemy. Odpowiedź idzie w następnym numerze. Bardzo słuszna.

R. W. Horosz. Pińsk: Spór o autorstwo tej pieśni jest sporem, jak każdy inny. Jedna i druga strona, gdy przedstawi swe racje, — będziemy wiedzieli, kto ma słuszość. O osadnikach wojskowych możnaby z pewnością wiele pięknych rzeczy napisać. Czemuż więc nie robicie tego Panowie mili? Łatwo wymyślać, — zrób to, tamto, o tem zapomniałeś. Ale róbże trochę i sam, Bracie?! Ludzie I-szej Brygady odznaczali się zawsze tem, że sami dawali sobie radę z różnorodnym gatunkiem pracy. Osadnicy, gdy zechcą potrafią z pewnością doskonale pisać.

Tad. Wit... Nie. To jeszcze nie „to”. Opowiadanie o pijakach — fałszywe. Nie widać tych ludzi, niema ich w opowiadaniu wcale! Biedę trzeba szanować, gdy się ma o niej pisać. Szanować nienawidzić, tępić, — w każdym razie odczuwać. Pan zaś opowiada tylko, opowiada Pan z przymusem, nie znajdując w swym wątku żadnej treści głębszej, żadnego wzruszenia istotnego.

St. Sos... Oba utwory bardzo słabe. Pisze Pan właściwie o niczem. Jakież wspomnienia mgliste, które nie odnoszą się do niczego. W poezji trzeba bardzo dobrze wiedzieć, do czego się zmierza!

M. P. R. Wiersz zaczyna się bardzo pewnie. Rozumnie. Przybiera na głębi, — niestety kończy Pan to nieszczerem „samobójstwem” frazesem.

Eich, Jarosław: Ależ nie otrzymaliśmy, odpowiadamy na wszystkie listy, zawsze.

REDAKTOR I WYDAWCA: **WOJCIECH STPICZYŃSKI**

Drukarnia Artystyczna, N.-Świat 47.

Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.